

Pieśń o głodzie



BRUNO JASIEŃSKI

Pieśń o głodzie

*REŃI
W ROCZNICĘ ŚMIERCI
7 — V — 1922
ZAMIAST KWIATUW*

libres de tous liens
donnons-nous la main

apollinaire

PROLOG

w wielotyśęcznych, stuulicyh miastah
wyhodzą codzennie tysące gazet,
długie, czarne kolumny słuw,
wykszykiwane głośno po wszystkich bulwarah.
piszą je mali, starši ludzie w okularah.
ńeprawda,
pisze je Miasto
stenografją tyśąca wypadkuw.
rytmem. tętnem. krwią.
długie czterdzestospaltowe poematy.
wystukują je stutyśęczne aparaty,
kture słyszają puls świata za miliony mil,
agencje reutera, havasa, paty,
długie, kilometrowe papierowe zwitki.
komuńikaty.
miasto słyszy wszystko.
wie za kogo wyhodzi kśężńiczka hiszpańska
i co spiskują w gdańsku niemcy wćąż ńesforńi,
o budowie w himalajah nowego wiaduktu,
radiodepesze z kalifornji
i stan pogody w timbuktu.
o wszystkim pisze miasto w swoich 40-szpaltowych poematah:
strajki w elektrownah. pszejchańa. samobujstwa.
oto jest prawdziwa gigantyczna poezja.
jedyna. dwudźestoczwergodźinna. wieczńe nowa.
ktura dźaża na mńe, jak śilny elektryczny prąd.
jak śmieszne są wobec ńej wszystkie poezje.
poeći, jesteście ńepotszebńi!
ja ńe czytam strinberga, ańi norwida,
ńe pszyznają śę do żadnego spadku.
czytam świeże, pahnące farbą dźenńiki,
z bijącym sercem pszegładam rubryki wypadkuw,
kture mńe kłują, jak ostre pilńiki.

o, nadzwyczajne wypadki.
samobujstwa. podżuceńa. katastrofy.
krutkie spięca. tajemnicze pożary.
czarne strajki. rozstszelańa. napady.
jaka ogromna kryje się w was tajemnica.
niepszetlumaczalna.
tajemnica pulsujących miast.
kszyczy w was ukszyżowana ulica.
żywe, odpreparowane od naskurka mięso.
ja,
ktury śpię,
kiedy otello morduje desdemonę,
czuję, jak mi się nogi pszerażone tześa,
gdy na rogu, otoczony gawiedzą
zdyha ślepy, zajeżdżony koń.
oto jest prawdziwy, niemalowany teatr.
wielobarwne, heraklitowskie wszystko,
wałące konkretnością, jak obuhem, z nug.
wie o tem dobrze i motłoh,
kiedy gapi się na bezpłatne widowisko.
nie wiedzą tego pańe i panowie
z taktem
pszehodzący na drugą stronę, gdy na płytah
wśród grobowej, naprężonej ćiszy
idże ćężki, pszedśmiertelny balet.
panowie nie mogą pogodzić się z faktem
że teatr ten ma wiele niewątpliwych zalet.

piszą o tym wszystkim gazety.
piszą więcej.
w rubryce nadzwyczajnych wypadkuw
są małe, niewyraźne wzmianki
o śmierciah
jakihs niewiadomyh ludzi,
kture się kończą słowami:
«... zawezwany lekaż pogotowia skonstatował śmierć głodową...»

o niewiadomi, bezimienni ludzie
zagłodzeni w saharah milionowych miast,
kturym nie miał kto podać nawet bulki z masłem.
o wasze śine, popuhnęte trupy,
jak o własne,
upomni się żarłoczne, wszystkożerne Miasto.
czarne, natłoczone prosektorja
wyeksploatują wasze zwłoki,
rozdłubią resztki waszyh ćał od kości.
wy jesteście pszedziwnym nawożącym sokiem
wielkiej, nieobliczalnej, wspaniałej Ludzkości!

I

daj tważ do kolan swoich pszytulić.
krew z twoih palcuw zliżem.

z odzuconymi bezwładnie
rękami

ulic
leżało Miasto kszyszem.

pszybili go do żemi ćwiekami lamp
jażące białe gwoźdze wżarły śę,
jak kszyki.
pszyszła noc
i pszyłgnęła do krwawyh ramp
pałacą hustą weroniki.
okropna,
lepiej deszczem po tważy tłuc,
jak tyh
ukszyżowanyh na bramah rajuw.
krople czarne,
maleńkie,
natrętnie,
wyżuczone z krwią razem zpowrotem
z płuc
po czarnej pooranej szynami tważy
spłynęły łzami tramwajuw.

jeszcze i jeszcze
bezkształtne, wypukłe
domy czarne, obślizgłe, karmione deszczem
napęczniały, jak gąbki,
napuhły,
rozlały śę, rozpełzły rozdęte, stulice
wystąpiły na hodniki z ćemności,
zsunęły śę,
pszyćęły kszyczącą ulicę
— ludzie!
— pomuźće!
— rozgńotą!

wypłynęły w uććisku skrwawione wnętrzości
i bez jęku wylały śę w błoto.

a czarne śćany rosna,
ćagną śę do gury.
zasłoniły całe niebo,
zakryły szczyty,
jakby ogromne ołowiane hmury
na żemi użądziły meeting.

nie będę żył, jak kato, ni walczył, jak samson.
głud, ktury rośnie we mnie, ćiska mną w gorączce.
był człowiek, ktury nie jadł, nazywał śę hamsun
i zrobił na tym puźniej sławę i pieniądze.

na wytartej kanapie, skręcony w sześć
leżę prężąc do gury zsińały profil.
dzeń odhodząc wyl długo zjeżywszy szerść,
a teraz noc mi śpiewa swe dziwne strofy...

zaraz sufit bez szmeru zsuńe śę w pokoju.
pszygńeće pomaleńku
ćiho i jasno.
wolno tynk śę na śćanah rozdwoił,

jakby pokuj wargami mlasnął.
ścian rozmokniętych bezzębne dżasła
poruszyły się wolno.
żują cmokając.
nagle stuł po podłodze zapląsał
i piec podskoczył, jak pajac.

coraz bliżej i bliżej zsunęły się ściany.
nie odephnąć rękami pełznących tapet.
ćiho...
na palcach...
jak pies ścigany...
już tylko za parapet...
TERAZ!!

a ku ku!

głową w dół.
cztery okna
i
trrrah!
o miękkie asfaltowy materac.

polecało.
zatańczyło.
upadło.
i jeszcze
odbity, jak od gutaperkowej posadzki
lecę.
odskakuję od gzymsuw, jak piłka,
z deszczem
i w gurę wystszelam świece.

gumową czaszką o bruk
i wyżej
hop!
odbijam się zpowrotem.
do gury i na dół.
z rozpostartymi rękami lecę pod strop
i znowu na ziemię spadam.

już myśli, jak kobiety, wałą się z nug,
oćężałe,
jak kłęby w zbużonym ruszcie.
jeszcze chwila i czaszka tszaśnie o bruk.
— pomużće!
— pomużće!!
— pomużće!!!

pszybiegli wystraszeni.
otoczyli kołem.
w rozpostartego wparli pszerażone oczy.
— nie bujć się.
— nie kszyczcće.
— nic nie zwihnąłem.
— pszyćisńijće mnie.
— mocnej!
— odskoczę!!

pohylili się.
pszygnęli.
zagrali na trąbce.
blizkie zmieszane tważe, pszestraszone trohę.
dwuh wysadło z karetki i wsadzić mne w głąb hce!
na skołataną głowę wciągną mi pończohę!!

położyli na miękkie.
... daleko.
... pszyszłość.
... długie żelone palmy kołyszą się w czaszce.

Reń!
to ty?
jak dobrze że pszyszłaś.
aksamitnymi rękami po tważy mne głaszczesz.

pamiętasz wtedy wieczur...
deszcz za oknem śpiewał.
słuchałem czy choć jeden nerw Twuj jeszcze drży mną.
na żelonym cmentażu teraz skomlą dzewa
i jest tak bezlitośnie, pszejmująco żimno.

teraz sam, jak podżutek pszez pusty pszytulek,
pujdę pomiędzy ludzi daleki i obcy.
w maleńkim gńazdku serca nęma już jaskulek,
zabili mi ostatatną żli, nęgżeczni hłopcy.

hłipiący skowyt z krtani na wieżh się wyspinał.
czepia się Twojej sukni, pełźnie ku dłońom.
ućekać nę mam siły.
nadhodzi finał.
zajadli mali ludzie z psami mne gońą.

ogromny tłum
z laskami
czarny,
jak powudź
rośnie,
wije się za mną
długi,
jak ogon.
zamknęli dżwi!
zapużno!
nę mam gdzie się shować!
malutki prosty człowiek podstawił mi nogę!!

już.
już.
dopadli.
stratowali.
zmięli.
podeptanego trupa podnieśli, jak sztandar
wysoko
i na pszedze,
nad tłumem
obok kapeli
pońeśli.

śnieg padał gruby i w oczach narastał.
szli ludzie niezliczone, bezładne i tłumne,
kiedy zakrepienymi ulicami miasta
pośleli mnie w ogromnej ołowianej trumnie.

szli księża z kadzidłami, jeden długi gest rąk
i związek literatów w cylindrach i krepie
i cechy z horągwiemi,
w tużurkach,
z orkiestrą,
a potem tłum się czarny na rogach doczepiał.

na placu teatralnym tłum rozlał się w mrowie.
dzwony dwoiły w dzwony i w dzwonach ich kszycyki niki,

gdy nagle
straszny,
obandażowany
człowiek
podnosił się ogromny,
groźny,
jak wykazykownik!

panowie!
jestem wzruszony.
widziacie, zbladłem.
żegnacie mnie tak pięknie i tyle tu kobiet,
ale zapominacie, że nic dziś nie jadłem
i muszę iść zaraz na obiad.

o!
cisza.
i ryk jeden!
kszyki. spazmy. płacze.
hałas powstał i tumult.
kszyczeli: «zmarwyhwesta»!
jakby na przedstawieniu opery w teatsze
nagle zaśpiewał statysta.

panowie!
nie klękajcie.
nie płaczcie.
nie kszyczcie.
widziacie, stoję zdrowy, cudowny i prosty!
ah, skurcz się w sobie,
wyksztuś na bruk swoje życie
i idźcie z nim pod ręce tańcować na mosty.

nie będziemy już odtąd umierać więcej,
ktużby nas takich pięknych i olbzymich gźebał.
roześmiejcie się wszyscy,
weźcie się za ręce
i prosto marszałkowską pujdźmy do nieba.

jak może każdy z nas,
co dziśaj tańczą,
stać się martwym,
śmierdzącym,

po kturym się skrupulatnie wykadza zakrystję.
nas,
z kturych każdy sam jest żyjącą monstrancją
na serca swego białą euharystję.

pozdejmujcie ich z kszyżuw!
nieh ziemią kroczą
ci,
co hcieli pszez wieki umierać za nas.
życie cudownym sokiem trysnęło nam w oczy,
jak pod nożem dojżały ananas!

... z pszyczajonych zaułkuw w noc ku spelunkom
czarna zmowa wypelzła,
wije się, jak skorek.
pohwyćili mnie z tyłu!
wiążą!
ratunku!!
na głowę mi wciągają straszny czarny worek!

pszyszła noc głuchońema i w głowah śadła,
małe kaszlące serce pszycisnęła ręką.
słyszę!
ziemia już dudni od stup, jak kowadła.
tszymajcie!
tętna mi pękna!

z daleka jeszcze.
słońce głowy im paży.
olbżymi głodni ludźe, czarńi od maszyn!
idźeće,
wiem.
nie patszcie!
nie tszeba tważy!
każdy z was będzie mesjaszem! !

o wyksztuś się z twyh piwnic,
wywal się na wieżh,
jak krew buhńij pszez okna i wszystko zalej
tłumie hamuw,
co niebo głowami dżurawisz!
jakie ogromne może wyobrażeń!
jakie cudowne dale!

serce olbżymie w krtańi stanęło i skacze.
wypluję pod nogi, w piah wam.
idźeće!
kszyczeć nie mogę!
ogromni w zoży požodze.
trup muj
krwawy,
stratowany,
czerwony,
jak lahman,
z kturego może szmatę na swuj sztandar udrą,
w śmiertelnym zapatszeńu leży wam na drodze,
po kturej pszechodźiće

w *JUTRO!*

II

w maju,
w zażeleńonej słonecznej stolicy
spacerowały po trotuarach kobiety dzieci i żołnierze,
gdy nagle
z buhającej aorty pszczeniicy
bęben udeżył.

szli kolumnami,
za rogiem ginęli
szereg za szeregiem rytmiczny i twardy
na pierśach szarych, żołnierskich szyneli,
jak kwiaty,
czerwieńały czerwone kokardy.

za szeregami ulicznicy
z kszukiem i świstem
goñili tańczący,
wyżucali czapki.
ulice się kłaniały białe i czyste.
w wypiekach słońca opadały kwiatki.

pszehodziły kompanje ruwno, jak na mustsze,
bez komendy tzymały swuj cudowny krok,
wszyscy porwañi jednym
miljonowym
spazmem.
i w tłumie błysk bagnetuw odbił się,
jak w lustrze
i zahłysnął się cały dżikim entuzjazmem.

na ulice tłumy jasnych roześmianych ludzi
wyżygały na słońce obdrapane domy.
panny. służące. prostytutki
uśmichają się do siebie,
jak znajome,
i serca pod bluzkami tłuką im,
jak gongi.
na gmahu poczty i telegrafu
rozwiñęta
olbżymia czerwona horągiew
na wszystkich piętrah stukające aparaty
wyżucają podłużne papierowe świstki:
wieść na cztery końce świata
wszystkim. wszystkim. wszystkim.

w tokio zdenerwowany japoński mikado
odbiera rozedrgane, dzwoñące depesze
i rozmawia iskrami z londynem
że wyrosły już, zagrażając zagładą
światu
czerwone ręce proletorjatu.

a wieczorem
z czarnego oszalałego miasta,
z katedry,
ciemnymi zaułkami wśród śpiewuw i świstu
w pole płaszcz kryjąc tważ
ućkał hrystus,
gdy nagle tłum go na placu
dopadł.
pohwyćili ze ręce.
zawlekli.
czarni obdarci ludże od kielni i łopat.
zaćgnęli kszyczącego,
boso,
na rug,
na miejscu samosąd.
kuharki zahrypnięte podnosiły pięści:
— za naszą kszywde!
— za nasze curki, co sę poszły po hotelah łajdaczyć!
— za nasze stare, sharowane matki!
— za naszą hańbę pszeplakanych mąk,
— kturąś dzwonkiem zagłuszał i karmił opłatkem!
kułakami, laskami zabili, zatłukli.
poturbowane, umęczone ćało
upadło pod razami spracowanych rąk.

w tym samym czaśe,
kiedy dusza moja w kaloszah «treugolnik»
w warszawie,
w natłoczonym kinie,
ściśnięta
prużno czekała zbawieńa.
w środku detektywicznego włoskiego dramatu
odńehceńa zerwała sę lenta
i na płutnie wśród śmiertelnej ćiszy
ukazała sę ta sama scena.
kszyk powstał na sali i pańika.
żućili sę w popłohu do dźwi.
mężczyźni tratowali kobiety.
prużno ćiskał sę pszy aparacie mehańik,
a gdy wreszće zapalono kinkiety
na ekranie zostały czarne płamy krwi.

po ulicah snują ludże jacyś,
ćeńe prawie
i giną zańim słowo sę głośno wymuwi,
a w oświetlonej sali tow. higienicznego
histeryczne studentki i gawieź
oklaskują żewającą estradę,
z kturzej kłańał sę glinka i kohał sę tuwim
tważe krwią im zahwytu nabiegły
nalane.
czekające, tważe te, skądś znam!
to tłum ten sam,
ktury we mńe w zakopanem
rozjuszony w bezbronnego ćiskał jajka i cegły.

i kiedy żegnany oklaskami shodził ostatni błazen,
wszedłem wolno na estradę
i powiedziałem prawie ze smutkiem.
— panowie,
— nic nie wiecie.
— dostałem depeszę.
— dzisiaj wyjeżdżam.
zdaję się że nikt się nie rozplakał.
było ciho.
ktoś zaczął bić brawo.
wyszedłem wolno na ulicę.
dorożka odwiozła mnie na dwozec.
kłańały się latarnie niewiadomo po co;
gdy pociąg szyby okien hustką dymu czyścił.
shyleńi pod piecami
majową nocą
śpiewali na zwrotnicach czarńi maszyniści.

ŚPIEW MASZYŃISTUW

słońce pszygnąłszy kolanem, skury dymiące się połce
długo do mięsa obdzerał nasz pokrwawiony scyzoryk.
w nocie bezgwiezdne majtkom na świata płonącym drednouće
tważ wylizaly do krwi nam zoży czerwone ozory.
nam-li wyrosłym w trudze pod wśceklą zdażeń ulewą
bładzić po możah uńeśen w gwiezdne wsluhanym kapele?
zgodnym wyśilkim twardyh rąk rozhuštamy w lewo
czarńi, maleńcy ludze żemi olbżymi propeller.

patszył na wszystko z gury nasz bezpartyjny pan bug.
plakał nad nami deszczem, aż wreszće krwią się wysmarkał.
gdy walec wiekuw gnułł nas, krwi naszej twardyh jambuw
słuchało stare słońce łyse, jak łeb bismarka.
długo świeciło w ślepiu nam, purpurowym mužynom,
w mordy zwęglone w hutah, do kturyh pszyrusł kopeć.
gdy go, zwleczone na żemię, nuż robotńiczny zażywał,
tłum się na trupa żucił krew buhającą żłopać.

z życiem rozgranym pod ręce na świata szerokie trakty
wyszliśmy rano, śpiewając, z płahą koloru flamingo.
paszcz wytoczonych mitraljez suhe rytmiczne antrakty
w krtan zabijemy z powrotem kulą wyplutą z brauninga.
kto nam, kto nam teraz drogę zagrodzi samym?
wszystko zmiażdżymy butami piękni, ogromni i ludzcy.
miejsca! gromada idże. proletarjacki samum!
czapkami drogę wymościł taneczny krok rewolucji.

świat postawiony pod ścanę, jak mały, blady człowieczek,
mrugał bezradnie oczkami, gdy kolbyśmy wznieśli do ramion.
plakał zmartwiony hrystus o dusze swoich owieczek
gdy salwą gruhnęły lufy i śnieg się krwią poplamił.
nam-li dziś skomlec nad trupem, gdy hymnem tętni nerw,
czaszką o żemię gźmoćić i kszyczeć: nie pszeklinaj! ?
do wszystkich okien i dżwi już wali kolbami mauzeruw
w łunah wshodzącej zoży wielka świetlana NOWINA!

robotnikom warszawy i łodzi, czyje
uśmiechy zawsze oślepiają.

III

a potem pszyszy dñi,
dñi dziwne,
pełne purpurowej grozy
i krutkie, blade, pszerażone noce.
ulicami pędziły ciężkie autowozy
naładowane ludźmi, od bagnetuw ostre
i pełno było wszędzie lepkiej, skszepłej krwi,
jakby kto rozdarł wielką, zaropiałą krostę.

hodnikami wałęsali się bladzi, dziwni ludzie
z błyszczącymi niesamowicie, wklęsłymi oczyma
i wszystko był dziwne mętne,
jak w gorączce.
czas się zatszymał.
dñi pszyhodziły śpiące
i noce koloru khaki.
nad pustymi ulicami żażyły się lampy,
żucając długie ćenie białe i czerwone.
po nocach, pod eskortą, zawsze w jedną stronę
wywożili żołnieże długie, czarne paki.

jednego rana żeki wygłodniałych ludzi
korytami zaułkuw spłynęły na plac
i kszyk miasto obudził:

te ścerwy!
oszukają nas władzą, kturzej nie hca dać.
mamy ih władzę gdzieś!
nam praw nie potszeba!
nieh nam dadzą hleba!
my — hcemy — jeść! !

— — — — —
na możu białym ćiho z dołu,
gdy pszypływ okręt muj kołysze
pszykładam ręce tubą do ust
i kszyczę:
SŁYSZĘ!!
coś się wyrwało z pętuw tam,
kszyk zbuntowanej czarnej załogi.
czekajće, sprute mam wyłogi.
powiodę wszystkich dżisaj sam!
na cztery strony cztery drogi,
rozkładam ręce, wszystkie tam!

hodźće tu,
wołam was, jak gustaw,
kturych zapadłe w głąb policzki
pozwolą jasno mi policzyć
ileście dñi nie mieli w ustah.

czarńi, brązowi, biali braća!
zgrajo obdarta i wyhudła!
gdy nocą kśężyc wyjży z hmur,
jak szczury wylażić z nur.
pełźńeće,
wlokąc nug swyh szczudła,
pod okna, gdzie pszy stołah żrą
za szybą natłoczonych baruw
sterty kompotuw i homaruw
drańe spaśone waszą krwią
i dziwné oczy wam śę lśńą,
aż was nie spłoszy kszyk zegaruw.

gdy wiatr pułnocny dzewa czesze,
pszez taśmy gur po nocy widnej
od śńeżnych tundr do portu w sidney
widzę rozlane wasze żesze.
gdy w polah czarne ćeńe tańcą,
splątane w jeden długi łańcuh,
do miast spelzaće śę szarańcżą,
śadaće ćiho w progah dźwi
czuwać nad zdrowym snem mieszkańcuw,
kturym śę wtedy w snah
majaczą
kałuże czarnej, tłustej krwi.

o braća moi wszystkich ras
z europy, azji i ameryk,
ilu was jeszcze jest gdzie więcej,
armje zgłodńałe!
nowe stany!
nastąpił czas
i świat, jak kleryk
pszymuje hszest czerwonych święceń.
pujdźeće za mną dźisaj tam,
gdzie żrą zamorskie mangustany!

— — — — —
opadała na miasto mgła jeśennej sloty.
był dzień hłodny, bezbarwny, wilgotny, jak kanał.
w mokrej mgle po zaułkah do rana
kasłały kulomioty.

— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —

bzuhy nasze zielone, granatowe, śine,
takie lekkie pszedziwne, ćężą nam, jak więzy.
w dzień żujemy niesmaczną słodkockliwą ślinę,
a w nocy śsemy własny zskorupały język.

w głowie huczą nam ćagle jakieś dziwne szmery
i straszna czczość w żołądku okropnie nas nudzi,
widzimy tylko w guże pszez okna suteryn
nogi szybko ulicą pszehodzących ludzi.

a nocą gdy zaśniemy strawieni bezruhem,
poskręcawszy wyhudle, popuhnęte członki,
śni nam śę taki słodki prawdziwy baumkuhen
na dzedzińcu słonecznym sąsędnej ohronki.

wycągamy do nego ręce pszez sztahety,
wężąc palcami pruźnę, jak ssawkami macek,
a małe, czyste dzeći i białe kobiety
kładą nam w nie pahnący ukrajany placek.

pożeramy ksztusząc śę, kawałami, gwałtem
dobre, słodkie, pszedziwne, wypieczone ćasto...
gdzieś blisko slyhać trąbki...

... to mięćutkie auta
pszysyła po nas wielkie, dobroczynne *MIASTO*.

FINAŁ

na miękkiej trawie tważą do hmur
leżę ogromny hiński bogdyhan.
nie tknął mnie żaden piorun ni mur,
a jednak czuję, że zdyham.

i kiedy z estrad płonących jaśnej
ćiskam swoje ohłapy brutalny i wielki,
śmierć moja może dogryza już właśnie
moje ostatnie cukierki.

nie będę pisał wierszy. — jak pusty kłos są,
lecz wiem, że ći, co raz slyszeli je,
jak zarazę za sobą wszędze pońosą
kaprysuw moih ewangelje.

*ortografja według manifestu
autora z dnia 25 marca 1921
«w sprawie ortografji uprosz-
czonej» («1-a jednodynka fu-
turystuw. manifesty futuryz-
mu polskiego. czerwiec 1921.»*

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/piesn-o-glodze>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Jasiński, *Pieśń o głodzie*, wyd. Instytut Wydawniczy "Nezależnych", Kraków 1922.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, a korektę ze źródeł wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0320-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.